

**Grzegorz Gajek**

# **Trzy dni w piekle**

Autor pisze o sobie:

*Ja, Grzegorz Gajek, urodziłem się 28 lipca 1987 roku w Warszawie. Pierwsze swe "wielkie dzieło" skłeciłem w wieku ośmiu lat, czerpiąc natchnienie z Lucasowskich "Gwiezdných Wojen". Później brałem udział w licznych konkursach literackich, zarówno rejonowych, szkolnych, jak i ogólnopolskich, kilkakrotnie zajmując wysokie miejsca. Obecnie jestem uczniem Gimnazjum nr 38 im. Marii Skłodowskiej-Curie. Interesuję się filozofią, zwłaszcza w odniesieniu do obecnej sytuacji na świecie, a także historią. Moje zainteresowania literackie są dość szerokie. Czytuję Shakespeare'a, Prusa, Sienkiewicza, Lema, Tolkiena, Sapkowskiego oraz wiersze pisane przez moich przyjaciół. Podobnie jest z tym, co piszę - są to miniatury teatralne, opowieści SF, fantasy, obyczajowe (jest tego trochę). W dalekiej przyszłości planuję podjąć studia archeologiczne.*

Rozkaz, który otrzymaliśmy, był prosty. Zdobyć przyczółek, zabezpieczyć, zorganizować przejazd dla dywizji opancerzonych. Cel - miasteczko Witelisk. Zdesantowali nas o czwartej nad ranem. Cztery helikoptery, każdy niosący jedną drużynę - w sumie czterdziestu ludzi. Było tam kilku facetów z Gromu, niezli fachowcy i ogólnie pojęci twardziele, ale zasadniczą część oddziału stanowili młodzi chłopcy z jednostek ochotniczych. Całe szczęście, że akcja była niezmiernie prosta. Dwanaście kilosów marszu, zdobycie osady - prawdopodobnie nie bronionej - i zorganizowanie mostów pontonowych dla dywizji opancerzonych. Cóż innego mogli dać świeżo upieczonemu podchorążemu Janowi Sobskiemu - czyli mnie?

Z ochotą ruszyliśmy przed się, jednak na miejscu zastaliśmy puste pole. Współrzędne - w porządku. Nawiązaliśmy kontakt radiowy z dowództwem. Błąd strategów z HQ, współrzędne zostały źle obliczone. Jakiś ważniak za dużo wypił, z góry świętując nasze zwycięstwo. Otrzymaliśmy nowy rozkaz - skierować się na punkt awaryjny alfa.

Wystarczył jeden rzut oka na moich chłopców, żeby stwierdzić, jak mocno są wk..wieni.

Dałem im dziesięć minut wytchnienia, potem ruszyliśmy na nowe współrzędne. Na miejscu mieliśmy założyć obóz tymczasowy.

- Chryszczół - rozkazałem - zorganizuj stację komunikacyjną. Malinowski, Górnicki - zabezpieczyć perymeter.

Procedurę miałem obcykaną, wszystkie regulamenty NATO - podręcznik "Rules of Military Engagement" znałem niemalże na pamięć. Miejsce było wygodne, zabezpieczone przed wzrokiem i ewentualnym atakiem, odbiór helikopterowy śmiesznie prosty. Żołnierze rozsiedli się, zaczęli gadać. Ja też przysiadłem sobie na chwilę, wziąłem samopodgrzewającą się rację, zapaliłem papierosa. Obok mnie przykucnął Sokół, mój kumpel i zastępca.

- Nie ma to jak piep..ona chamerykańska organizacja - mruknął, pociągając spory łyk z wydobytej z kieszeni piersiówki.

- Ta-a - odparłem, zjadając się obrzydliwą, przypominającą rozwodnione gówno papą, którą ktoś chyba przez omyłkę nazwał racją żywnościową.

- Nie ma to jak k..ewska dola żołnierza - burczał dalej, zapijając wódką.

- A myślisz, że dlaczego tak się piep..yli w Wietnamie? - zaciągnąłem się dymem i wypuściłem go powoli nad głowę. - Słaba organizacja, błędy strategiczne i taktyczne, niedocenywanie przeciwnika.

Sokół schował piersiówkę i zaczął bawić się swoim karabinem, zabezpieczając go i odbezpieczając raz po raz.

- Myślisz, że napotkamy tam jakiś opór? - zapytał.

- Mam nadzieję, że nie - zaśmiałem się. - K..ewsko boję się strzelaniny.

Sokół też się roześmiał.

- Kiedyś musimy jednak zacząć - rzekł. - Takie jest przeznaczenie nasze, taka fatalność, nie drogą do Nieba jest droga nasza, ale drogą popiołu, krwi i morderstw. Nie dla nas Raj w przydziale, tylko z diabłem borykanie się stałe. Winą naszą jest płacz matek i dzieci. Nie trafi żaden z nas do Raju, choć będą nas rwali w strzepy, choć cierpienie nasze jest ceną wolności, nie trafi żaden z nas do Raju!

Spojrzałem na niego, dopalając papierosa. Wśród dymu wydał mi się przez chwilę niczym jakiś upadły anioł, żołnierz-poeta, wieszcz widzący losy narodów.

Sokół był dziwnym gościem, miewał napady romantycznego nastroju. Pisywał wiersze, choć wydawało się to kontrastem z jego naturą, gębą i językiem.

- Pie..olisz - skwitowałem.

- Pie..ole - potwierdził, wybuchając śmiechem. Przyłączyłem się do niego, zdeptując niedopałek peta.

- Ale wiesz, co mnie najbardziej wk..wia w tej całej wojnie? - podjąłem po chwili rozmowę. - To, że tu najgorzej dostają w dupę cywile. Nóż mi się w kieszeni otwiera, gdy widzę tych wszystkich zagłodzonych starców, zrozpaczone matki z dziećmi.

- A mówią, że w naszych czasach nie ma już idealistów.

- Nie jestem idealistą, tylko cholernym realistą - rozstałem reszkę papierosa glanem. - Obaj dobrze wiemy, że na tej wojnie wzbogacą się bogaci, a stracą biedni.

- No i co? - Sokół skrzywił się ironicznie. - Może zostaniesz samotnym mścicielem i pie..olniesz kilku ważniakom w łeb głosząc, że to w imię pokoju? Jesteśmy, k..wa, żołnierzami! My nie myślimy, nie zadajemy pytań – wykonujemy rozkazy.

Chwyciłem grudkę piachu i rozstałem ją w palcach, patrząc spode łba po obozie.

Następny rozkaz mieliśmy dostać po góra godzinie od dotarcia do punktu alfa. Po dwóch godzinach skontaktowali się z nami - śmigłowce zajęte, przemieszczenie ofensywy, ruszajcie na nowe współrzędne, misja musi zostać wykonana.

Niniejszym zostaliśmy skazani na trzydziestogodzinny marsz z dwudziestoma kilogramami sprzętu na garbach, do tego przez rozgrzaną do czerwoności pustynię. Po raz pierwszy w życiu dowodziłem akcją i po raz pierwszy byłem tak wkurzony. Zresztą moi chłopcy też. Nietrudno było dosłyszeć, jak wyrzucają mi od k..ew i ..ujów - jakby coś tu ode mnie, k..wa, zależało. Nie pozostawałem im dłużny. Opieprzyłem ich z całą zebraną we mnie wściekłością, ustawiłem w kolumnę i dałem rozkaz do wymarszu.

Oddział młodych ochotników wybitnie nie był jednostką szybkiego przemieszczenia taktycznego w warunkach skrajnie nieprzyjaznych. Jeden facet skręcił kostkę, a trzech dostało odparzeń. Myślałem, że rozerwę ich na strzępy. Kazałem opatrzeć i ruszyliśmy dalej. Nigdy nie podejrzewałem, że zwykły karabin może być taki ciężki, że hełm może tak drapać w łeb, kamizelka dusić, a glany gnieść stopy. Pustynia i kamienie - tyle pozostało z naszej niezmiernie prostej akcji.

Na miejsce dotarliśmy dokładnie po trzydziestu czterech godzinach, dwunastu minutach i czterdziestu ośmiu sekundach - patrzyłem na zegarek. Złożyliśmy raport o spóźnieniu i z odbezpieczoną bronią wkroczyliśmy do miasta.

Od razu mi się poprawiło, poczułem skok adrenaliny i zapal do działania.

- Sokół, pięciu ludzi, wschód! - rozkazałem. - Grenoff, zabezpieczyć plac, rozstawić RKM- y! Górnicki, pięciu ludzi, zachód! Malinowski, drużyna, ubezpieczaj!

Ruszyliśmy truchtem, lekko pochyleni, kryjąc się za rogami budynków i wszelkimi przeszkodami. Karabin mocno zaciskałem w dłoniach. Czułem, że to jest to, że jestem żołnierzem i spełniam swój obowiązek. Rozesłałem ludzi, żeby posprawdzali domy i zaułki. Po chwili napłynęły sygnały od Sokoła i Górnickiego - wszystko w porządku. Miasto zabezpieczone, i to w przeciągu niespełna pół godziny. Z dumą wsłuchiwałem się w stukot butów moich chłopców i chrzęst ich uzbrojenia. Dałem rozkaz rozproszenia się po miasteczku i zajęcia domów. Rano mieli nam zrzucić materiały, abyśmy przystąpili do budowy mostu.

Dom, który zająłem, był zupełnie pusty, w odróżnieniu od większości innych, w których mieszkały przeważnie matki z dziećmi. Wszyscy mężczyźni zapewne opuścili miasteczko i przyłączyli się do oddziałów partyzanckich. Wraz ze mną zamieszkało

dwóch szeregowców - Jan Heller i Stanisław "Grucha" Gruchocki, a także specjalista od radiokomunikacji sierżant technik Sohe.

Zasiedliśmy sobie wygodnie w największym pokoju przy zapalonych palnikach gazowych. Sohe od razu zasnął - gromowiec, korzysta z każdej wolnej chwili na sen, aby w razie czego być w pełni sił. Ja także zdjąłem hełm i wcisnąłem nos w kołnierz. Powoli ogarniała mnie senność. Tańczące na ścianach cienie uspokajały, budziły wspomnienia. Agnieszka czekała na mnie, tam w Polsce. Matka pewnie oczy wyplakiwała. Zrobiło mi się ciepło, błogo...

Nagle jednak poczułem lekkie szturchnięcie. Otworzyłem oczy.

- Kawy, panie podchorąży? - zapytał klęczący nade mną Heller.

- Ta-a, dzięki - wziętem od niego kubek z parującym czarnym płynem i pociągnąłem niewielki łyk. Cholerstwo było gorące.

Chłopak także wziął swój i rozsiadł się beztrąsko. Był to młody - na oko jakiś dwudziestolatek - przystojny facet.

Spojrzenie jego niebieskich oczu było przyjazne i inteligentne. Co ktoś taki jak on robił w tej górnianej dziurze?

Powinien siedzieć w kraju, przy...

- Macie dziewczynę, szeregowy? - zapytałem.

- Żonę - odparł uśmiechając się szeroko - pobraliśmy się tuż przed moim wyjazdem.

...przy żonie.

- Pewnie tęskni za tobą - stwierdziłem, opuszczając służbowe "wami, szeregowy".

- Pewnie tak - odparł, łykając kawę. - Ale wie, że muszę zarobić na nasze utrzymanie.

- Wstąpiłeś dla pieniędzy?

- Tak. Nie skończyłem szkoły średniej, nie mam matury. Przegonili mnie już trochę w woju z poboru. Pomyślałem - czemu nie? Cały żołd wysyłam do Polski.

- Mhmm - ponownie pochyliłem się nad kubkiem.

- Wie pan co - Heller pochylił się w moją stronę. - Ania napisała mi, że ma jakąś pracę. Pomyślałem, że może jak mnie wypuszczą z tego wyklętego przez Boga miejsca, to wrócę do szkoły. Zrobię maturę. Może nawet poprobuję sił na studiach. Oczywiście wieczorowych, w dzień będę pracował. Byłem w technikum gastronomicznym, mogę zostać kucharzem. Co pan na to?

- Myślę, że to doskonały pomysł - mruknąłem.

W tym momencie doszło nas kilka dziwnych stuknięć. Poderwaliśmy się, zaalarmowani. Zaraz zbudziliśmy pozostałych i z karabinami w rękach ruszyliśmy w stronę, z której doszedł ów dziwny dźwięk. Doszliśmy do sporej szafy. Dałem znak Sohemu, aby ją otworzył. Sam ustawiłem się przed nią, gotowy do strzału.

Sohe otworzył drzwiczki.

- Jezu! - sapnąłem.

Odruchowo przyciągnąłem palec do cyngla, lecz powstrzymałem się w ostatniej chwili. Opuściłem karabin; z szafy wytoczył się mały chłopiec.

Po tym incydencie wzięliśmy chłopca do siebie. Nakarmiliśmy go i napoiiliśmy. Później postanowiliśmy sobie z nim zrobić zdjęcia. Miał jakieś trzy-cztery lata i naprawdę miłą powierzchowność. Koledzy zrobili mi zdjęcie, jak chłopczyk mnie obejmuje, a ja daję mu buziaka. Miało to przedstawiać mnie, dowódcę, jako dobrego ojca. Swoją drogą, bardzo polubiłem tego dzieciaka. Nazwałem go w myślach Michasiem.

Potem wreszcie położyliśmy się spać, wcześniej jednak opatulając Michasia naszymi kocami.

Następnego dnia zbudziłem się wcześniej rano. Nawiązaliśmy kontakt z dowództwem. Zrzutu dokonają za trzy godziny.

Pierwsze pojazdy opancerzone powinny dojechać za jakieś dwanaście. Także cały zadowolony z siebie wyszedłem na dwór i zaciągnąłem się świeżym powietrzem. Paru moich chłopców właśnie wchodziło do budynku, w którym urządziliśmy sobie latrynę.

Nagle jednak ogarnęło mnie dziwne uczucie niepokoju, jakieś zimno obejmujące ciało. Pamiętam... pamiętam, że uniosłem głowę. Był ten moment ciszy, a potem huk. Coś się stało, upadłem. Ujrzałem płomienie. Usłyszałem krzyk.

Odłamki gruzu i skrwawionego ciała sypnęły się w moją stronę. Zdałem sobie sprawę, że kilku moich żołnierzy właśnie rozsmarowało po pobliskich budynkach. Że koło mnie leży urwana dłoń.

Poderałem się z miejsca. Coś krzyknąłem. Chyba: "ALARM!!!" Skądś zagrały karabiny. Dostałem kilkoma grudkami ziemi. Zorientowałem się, że to do mnie strzelają. Dałem nura z powrotem do domu. Panował w nim dziwny huk, jakiś grzechot.

- CO SIĘ DZIEJE?! - krzyknąłem.

- ATAKUJĄ NAS! - Sohe przestał strzelać i zabrał karabin z okna.

Grucha podał mi mój karabin i hełm.

- MUSIMY SIĘ PRZEGRUPOWAĆ!!! - ryknął Sohe, przekrzykując huk strzałów.

Kiwnąłem głową. Wybiegliśmy na ulicę, oddając po kilka strzałów. Nie wiedziałem, do kogo strzelam, nawet go nie widziałem. Schowaliśmy się w alejce.

- HELLER! BIEGNIJ DO TAMTEJ ULICZKI!!! - zakomenderowałem. - BĘDZIEMY CIĘ OSŁANIAĆ!!

Chłopak przełknął ślinę i rzucił się biegiem w tamtą stronę. My w międzyczasie zasypaliśmy ogniem stanowiska wroga. Gdy ujrzałem, że Heller jest już na miejscu, kiwnąłem na Gruchockiego. On też przebiegł. Potem ja. Na końcu Sohe. Strzały w pobliżu ucichły, lecz nadal dochodziły z pewnego oddalenia. Okropny chrzęst i łomot.

Chwyciłem przenośne radio.

- Sokół! Sokół! - rzuciłem do mikrofonu. - Melduj!

- Niewesoło! - odparł ze słuchawki. - Strzelają do nas! Co mamy robić?!

- Cofajcie się do placu, gdzie są RKM-y! Tam zorganizujemy linię obrony! Przekaż rozkaz dalej! Bez odbioru!

Nagle usłyszałem pod nogami jakiś chrzęst. Coś podtoczyło się do mojego buta. Bogu dzięki, instynktownie kopnąłem to za róg. Usłyszałem huk - urwał się po ułamku sekundy. Wypie..yło za mną ścianę! Byłem na ziemi. Słyszałem jakieś dudnienie, jakiś dziwny pisk. Sohe coś do mnie krzyczał. W oddali usłyszałem dwa strzały. Zorientowałem się, że to Heller strzela tuż nad moją głową. Po chwili słowa Sohego zaczynały robić się zrozumiałe.

- Już mnie pan słyszy?!

- Tak! - odkrzyknąłem. - Ruszajmy!

Wybiegliśmy na ulicę. Znowu otoczył mnie huk, wybuchy, strzały, krzyki. Nagle coś na mnie wpadło. Poczuję przeszywający ból w ramieniu. Przycisnąłem spust. Ochlapała mnie krew. Przedemną upadło ciało. Sohe właśnie kogoś zastrzelił. Heller ciągnął mnie za rękaw. Ja patrzyłem na ciało. Człowieka przed chwilą zabiłem. Obok niego pojawił się chłopiec jakby znikąd. To Michaś! Na Boga! Zabiłem mu ojca...

Wpadliśmy w kolejną alejkę. Padłem pod ścianą. Lewą rękę miałem jakąś dziwnie odrętwiałą i było mi w nią mokro.

- Nic ci nie jest?! - Sohe z trudem przekrzykiwał huk wystrzałów. Heller i Gruchocki odstrzelili się w stronę wrogów.

Co mi miało być. Ja tylko... miałem dziurę w ramieniu. Trochę krwawiącą.

- Nic! - pokręciłem głową.

Gruchocki odwrócił się w naszą stronę. Zauważyłem, że jest cały zapyłony i lekko osmolony.

- Nadchodzą wielką grupą! - krzyknął.

W tym momencie jakby się ocknąłem. Chwyciłem karabin.

- Gruchocki - granat! Ubezpieczam!

Wychyliłem się. Zacząłem strzelać. On wyskoczył. Rzucił granat. Koło nas świsnęły kule. Schowaliśmy się. Huk!

Krzyk!

- Jeszcze raz!

Powtórzyliśmy procedurę. Wychyliłem się - strzelam. On wyskakuje - rzuca - wraca. Znowu huk.

- Obchodzimy tyłem i do placu! Heller, Sohe! Sprawdźcie przejście!

Wydałem komendy. Co było potem? To trudno opisać. Pamiętam... pamiętam bieg. Strzelaliśmy. Bieg i strzał. Strzał i bieg. Magazynek - zmiana. Już trzeci. Trzy Przyciskam Strzał Spust Wokół trzepocą i furkocą Sohe dostał Heller, chodź! CHODŹ!!! K..wa! Nie można! Strzelają Daleko granat. Ciągnę! Ogniem osłaniamy? Gdzie dokąd... Gruchocki.

Biegiem! Osłona - skała - opoka. Nie żyje... Ryczą? Zgrzytają! Łomocą... Grzechocą, Tamtędy! Wydech, ucisk.

Eh... hu, hu, hu. Ah... ha, eh, uh, hu, hu, hu, hu, hu. Eh, eh, eh, he, eh, he, eh-e.

- Janek! Janek! Nic ci nie jest?!

Pokręciłem głową. Udało się. Byłem na placu. Sokół stał nade mną. Grucha i Heller byli też. Zdałem sobie sprawę, że

Sohe nie żyje. Rozerwało mu głowę, kiedy biegliśmy. Biegliśmy... Spojrzałem na zegarek. Jezu, to było godzinę temu!

Spojrzałem na Sokoła. Był brudny i osmolony. Na twarzy miał trochę krwi.

- Gdzie zorganizowaliście posterunek medyczny? - zapytałem.

- Co?! - odwrzasnął Sokół.

- Gdzie medyczny?! - powtórzyłem. - Gruchocki jest ranny! Chyba ma przestrelone kolano!

- Tam! - wskazał na pobliski budynek. - A co z tobą?! Oberwałeś?!

- A! Nie, to nic takiego! Niech mnie tylko na szybko połatają! To tylko nóż!

Połatali.

Podpełzaliśmy pod prowizorycznie usypany szaniec, na którym stały oparte RKM-y. Kilku gości pruć przerywanymi seriami do wroga. Tamci też się odstrzelili. Od czasu do czasu jakiś zbłąkany nabój wbijał się koło nas w ziemię.

- Daj mi połączenie z HQ! - krzyknąłem do Sokoła.

Zaraz się połączyliśmy. Urywanymi zdaniem złożyłem raport. Dali mi jakiegoś spasego pułkownika-sk..wysyna.

Ja: POTRZEBUJEMY WSPARCIA!!

Pułkownik: Trzymajcie pozycję. Oddziały są zajęte.

Ja: Głośniej, k..wa!

Pułkownik: Macie trzymać pozycję!

Ja: Te sk..wysyny mordują moich chłopców!

Pułkownik: Pie..olej to! Nie możemy wam dać wsparcia! Jakie macie straty?!

Ja: Czterech zabitych i dwóch rannych! Jeden ciężko!

Pułkownik: To mają być, cholera, straty!? Wasz oddział jest sprawny!

Ja: Tam jest do ..uja tych pie..olonych arabów! Nie mamy szans!

Pułkownik: Trzymać przyczółek! To nie powód, żeby srać w gacie, chłoptasiu! Dostaniecie wsparcie zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami! Słyszysz mnie? Rozkaz nie może być zmieniony! Jesteście k..ewskimi żołnierzami na k..ewskiej wojnie!

Ja: Nie mamy wystarczająco sprzętu!

Pułkownik: Macie te w dupę je..ne RKM-y i granatniki! Zróbcie z nich użytek!

Ja: Tak jest!

Pułkownik: Dobrze, k..wa! Misja ma być wykonana! O dwunastej trzydzieści siedem zrzucimy wam sprzęt do budowania mostu i posiłki! Około osiemnastej nadjadą dywizje opancerzone! Przeprawa ma być gotowa! I skopcie dupy tym zasrańcom! Bez odbioru!

Oddałem słuchawkę. Spojrzałem na zegarek. Była dziewiąta zero cztery.

Dziewiąta dwadzieścia cztery

Czterech zabitych, pięciu rannych. Atakują cały czas. Odpieramy. Moi chłopcy są lepiej uzbrojeni, ale tych dupków jest do cholery i jeszcze trochę.

Dziewiąta pięćdziesiąt

Przestali strzelać. Chyba się przegrupowują. Wysłałem pięciu ludzi, aby zabezpieczyli miejsce zrzutu. Mamy piętego martwego. Jeden chłopak zmarł od ran. Miał w ciele trzynaście pocisków niewielkiego kalibru i chyba ze sto odłamków.

Dziesiąta dwadzieścia trzy

Pięciu zabitych, ośmiu rannych. Ponowili atak. Kanonada prawie nie ustaje od jakichś dziesięciu minut. Naszym odcięli drogę do punktu zrzutu.

Dziesiąta dwadzieścia dziewięć

Chłopcy wrócili. Żadnych zabitych ani rannych nie ma wśród nich.

Jedenasta zero jeden

Pięciu zabitych, dwunastu rannych, trzech ciężko. Natarli na nas wielką kupą. Kilka razy rozpędziłem ich z granatników. Doszło do walki wręcz. Ale tylko na chwilę. Dopiep..yliśmy im z RKM-ów.

Jedenasta piętnaście

Czasu coraz mniej. Wysłałem Sokoła na punkt zrzutu. Dostanie czterech ludzi. Więcej nie mogę mu dać. Tu trwa prawdziwe piekło.

Jedenasta czterdzieści osiem

Straciliśmy kontakt z Sokolem. Obawiam się najgorszego, ale nie mogę wysłać więcej ludzi. Cały czas do nas strzelają.

Dwunasta dwanaście

Ośmiu zabitych, trzynastu rannych. Wciąż ani słowa od Sokoła. Zdobyli skądś granatnik. Całe szczęście, że Górnicki zaszedł ich z dwoma chłopakami i wysadził cholerstwo.

Dwunasta dwadzieścia  
Martwię się. Sokół milczy. Strzelają do nas z dachów domów, z okien. Co chwila jakiś wyskoczy, strzeli i zniknie.  
Robi się mało amunicji.

Dwunasta trzydzieści siedem  
Już godzina zrzutu. Sokół się nie odezwał. Pewnie mu się nie udało. Jednak mam jeszcze odrobinę nadziei. Co innego moi chłopcy.

Dwunasta pięćdziesiąt pięć  
Na Boga! Sokół wrócił. Dostaliśmy sześć drużyn wsparcia. Arabcy zwiewają. Ruszamy organizować przeprawę.

Trzynasta dziesięć  
Zorganizowaliśmy fortyfikacje i bierzemy się za budowę mostu. K..wiszony się pochowali. Najciężej było przenieść rannych, ale teraz mamy szpital, dużo amunicji. Chłopcy cieszą się zwycięstwem.

Trzynasta czterdzieści  
Budowa idzie ciężko, ale za bardzo się nie martwię. Mamy czas do osiemnastej, a arabcy chyba nam już nie wyskoczą.

Czternasta dwanaście  
Wyskoczyli. Obeszli nas wzgórzami, wielką bandą. Ledwośmy ich odparli. Dziewięciu zabitych i osiemnastu rannych.  
Sokół dostał postrzał, ale nic mu nie będzie.

Czternasta trzydzieści sześć  
Zaatakowali znowu. Byliśmy gotowi i odparliśmy. Musiałem wstrzymać budowę mostu.

Czternasta czterdzieści  
Dostaliśmy nowy rozkaz. Przeprowadzamy się na drugą stronę rzeki. Tam spotkamy się z pancernymi. Z ich pomocą mamy zabezpieczyć okolicę i dopiero wtedy zbudować most.

Piętnasta zero dziewięć  
Jesteśmy po drugiej stronie. Póki co, spokojnie. Nie podoba mi się to. Mam złe przeczucia.

Szesnasta trzynaście  
Wrócili. Chyba dostali posiłki. Rzucili się z nowym zapalem. Odparliśmy ich. Jedenastu zabitych i osiemnastu rannych, w tym pięciu ciężko.

Szesnasta dwadzieścia trzy  
Atakują cały czas. Nie przestają ani na chwilę.

Szesnasta dwadzieścia osiem  
Dwunastu zabitych, dwudziestu rannych.



Szesnasta trzydzieści jeden  
Dwunastu zabitych i dwudziestu czterech rannych.

Szesnasta czterdzieści  
Trzynastu zabitych i dwudziestu pięciu rannych.

Szesnasta czterdzieści sześć  
Piętnastu zabitych i dwudziestu dziewięciu rannych. Zginął Grenoff.

Szesnasta pięćdziesiąt  
Piętnastu zabitych i dwudziestu dziewięciu rannych.

Siedemnasta jedenaście  
Piętnastu zabitych i trzydziestu rannych.

Siedemnasta szesnaście  
Szesnastu zabitych i trzydziestu sześciu rannych. Zginął Malinowski.

Siedemnasta trzydzieści  
Szesnastu zabitych i trzydziestu ośmiu rannych.

Siedemnasta trzydzieści siedem  
Siedemnastu zabitych i trzydziestu dziewięciu rannych. Zginęli Gruchocki i Górnicki.

Siedemnasta czterdzieści pięć  
Osiemnastu zabitych i czterdziestu jeden rannych.

Siedemnasta czterdzieści siedem  
Osiemnastu zabitych i czterdziestu dwóch rannych.

Siedemnasta pięćdziesiąt  
Osiemnastu i czterdziestu trzech.

Siedemnasta pięćdziesiąt dwie  
Osiemnastu i czterdziestu czterech.

Siedemnasta pięćdziesiąt trzy  
Osiemnastu i czterdziestu pięciu.

Siedemnasta pięćdziesiąt sześć  
Osiemnastu i czterdziestu sześciu.

Siedemnasta pięćdziesiąt dziewięć  
Osiemnastu i czterdziestu sześciu.

Osiemnasta zero zero  
Dziewiętnasty zabity - szeregowy Jan Heller.

Osiemnaście zero jeden  
Cisza.

Siedziałem na ziemi. Na moich kolanach spoczywało bezwładne ciało Hellera. Z jego rozerwanego boku płynęła krew.

Lufa mojego karabinu parzyła mnie, rozgrzana od płucia nabojami. Byłem zmęczony. Zziębnięty. Moje ubranie było zniszczone. Ramię z trudem utrzymywało broń. W moim otępiętym umyśle kołatały się już tylko dwie myśli - cel i pal.

Wokół mnie leżały trupy. Zrównane w śmierci - nieważne, czy to wróg, czy przyjaciel. I wtedy jak ryk lwów, jak huk wulkanów, jak grzmot morskich bałwanów uderzyła we mnie... cisza. Jedna moja łza odbiła pole bitwy, wierny jej zachowując obraz, runęła na ziemię i wsiąkła w glebę, która dotąd jedynie krew piła.

W oddali ujrzelśmy potężną chmurę pyłu i ktoś szepnął:

- Nasi!

Do Polski wróciłem dwa miesiące później. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego sprawy potoczyły się właśnie tak, jak się potoczyły. Nie dowiedziałem się, dlaczego w pozornie opuszczonej wiosce napotkaliśmy opór tak silnego oddziału.

Poprowadziłem jeszcze sześć akcji - cztery udane i dwie zawałone, za co awansowałem do stopnia porucznika. Ale nigdy nie zapomnę moich pierwszych - trzech dni w piekle.

A póki co, za cel postawiłem sobie odnalezienie niejakiej Anny Heller.